

ocłagał się z dalszą odpowiedzią, a potem śmiało i bez ogródek za-  
dytał:

— Dlaczego ty, towarzyszu Zadorin, pytasz o to? Wiesz prze-  
cież, że chrześcijańskie święta są  
zniesione już dawno w Rosji so-  
wieckiej!

— Pięknie to powiedziałeś, Le-  
biediew. Ale mówią o tobie, że  
jesteś jednym z tych głupców,  
którzy nie wyzbyli się jeszcze  
chrześcijańskiego obłędu. Pamię-  
taj — zapiszę cię na listę zwolnio-  
nych na ten dzień od pracy, jak  
jest u nas w zwyczaju, ale  
uprzedzam, że wytrącą ci za to  
dzienny zarobek.

Wiedź o zwolnieniu się od pra-  
cy Lebiediewa na jutro szybko  
się rozniosła po barakach. Za je-  
go przykładem poszli i inni, pro-  
sząc Zadorina o urlop na jeden  
dzień.

— Djabli nadali z wami, wrze-  
szczał Zadorin, lecz choć niechę-  
tnie wpisał ich na listę zwolnio-  
nych od pracy.

Lecz kiedy zaczęli zgłaszać się  
doń coraz to nowi interesanci z  
tą samą prośbą, dozorca wpadł w  
gniew i szybko pobiegł do kanty-  
ny zalać robaka prostą oczysz-  
czoną.

Lebiediew był powszechnie lu-  
biany przez towarzyszy niedoli.  
Jedną sobie ich serca swą uprzej-  
mością i uczynnością koleżeńską.

Wprawdzie śmiali się z niego  
nieraz i podkpiwali z jego wiary,  
zwłaszcza, gdy jej bronił otwar-  
cie, ale wesołość i pogodę ducha  
cenili w nim wielce. szanowali go  
pokryjomu.

Na koncepty kolegów pobaż-  
liwie i z wyrozumiałością odpo-  
wiedział Lebiediew. To też teraz  
na uwagi ich, że swoim przykła-  
dem rozżłościł niepotrzebnie Za-  
dorina, odrzekł spokojnie ale sta-  
nowczo:

— Czego chce odemnie Zado-  
rin? Przecie wysokość zapłaty i  
tak mi obetną. Wiecie — przy-  
jaciele, że pracy nie obawiam się  
wcale. Ale Wielkanoc jest dla  
mnie dzień tak święty i wielki,  
że go żadną pracą nie znieważę,  
nie pogwałcę. Tak jest i tak być  
powinno!

Przy tych słowach z wielką  
wprawą zaczął strugać kozikiem  
pischczalkę wierzbową. Towarzy-  
sze jego zasiedli do ciężkiego, or-  
dynarnego stołu. Miano jeść ko-  
lacje. Właśnie wnoszono michy,  
ze stęchlą kaszą, w której pły-  
wały nieświeże również dzwon-  
ka śledzi, czy jakiejś ryby nie-  
zdecydowanego koloru. Ryżu  
ukrainiec Doroszeńko ujął bała-  
bajkę w swe spracowane dłonie,  
zaczął trącać jej struny, jakby  
odniechcenia, a odwracając gło-  
wę w stronę Lebiediewa i dum-  
nie wstrząsając swym ogromnym  
czubem w takt pieśni, — wyce-  
dził z drzwini:

— Wielkanoc—co Wielkanoc?  
Taki sam dzień jak inne. Może-  
byś nam wyjaśnił, Lebiediew, dla  
czego Wielkanoc ma być dla cie-  
bie czemś osobliwym, szczegól-  
nem?

Oczy obecnych skierowały się  
z zaciekawieniem w stronę Le-  
biediewa.

Doroszeńko bowiem uchodził  
powszechnie za rzecznika bez-  
bożnictwa, natomiast Lebiediew,  
zaczepiony o swe wierzenia, ni-  
gdy nie pozostawał dłużnym. Za-  
wsze gotów był bronić swej wia-  
ry.

Na tem tle dochodziło nieraz  
miedzy nimi do sporów i sprze-  
czek wesołych, ale i pouczają-  
cych. Tym razem Lebiediew nie  
dał długo czekać na siebie. Pelen  
powagi odłożył na bok pischczal-  
kę, kozik i tak odpalił Doro-  
szeńce,